

WIOSNA, JAK NA WIOSNĘ PRZYSTAŁO, wystartowała w Warszawie przy dźwiękach muzyki; muzyczne sensacje były w ostatnim okresie najważniejszymi wydarzeniami artystycznymi stolicy, ale też miały rangę wyjątkowo wysoką. Ponieważ trudno przyszłoby mi je ustawić według hierarchii ważności, bo słuch — wiadomo! — bywa subiektywny, postaram się, przynajmniej trzy najważniejsze, zrelacjonować po prostu w porządku chronologicznym. No, więc najpierw występ mediolańskiej La Scali; na razie, niestety, tylko jej elementu czysto instrumentalnego, czyli orkiestry, lecz za to z jej szefem muzycznym, znakomitym, światowej sławy dyrygentem, Riccardem Muti.

La Scala, to niby dla Polaków nie nowina: w legendarnym teatrze operowym niejednokrotnie gościli i goszczą nasi śpiewacy, dyrygenci, kompozytorzy, nawet orkiestry czy chóry, dotychczas był to jednak tylko ruch w jedną stronę. Nasi jeździli do La Scali, ale La Scala nie przyjeżdżała do nas. I trzeba było dopiero jubileuszu 50-lecia „Życia Warszawy”, połączonego z faktem, iż głównym wydawcą „Życia” jest włoski potentat, aby święto najstarszej z powojennych polskich gazet uczcić pierwszym w Polsce występem La Scali. Co prawda bez tego, co stanowi o jej miocie i sile, czyli bez śpiewaków, niemniej od czegoś trzeba przecież zacząć.

Przystojny, niespełna 53-letni neapolitańczyk Muti podbił serca warszawianek i być może sprawi, że teraz już częściej zaglądać będą do filharmonii. Bo jeśli idzie o publiczność galowego koncertu (wyłącznie za zaproszeniami), to sądząc po jej reakcjach stojących w niejkiej sprzeczności z ogólnie przyjętymi zwyczajami (rzęsiste brawa po każdej części symfonii), kontakt z muzyką klasyczną miewała dotychczas niewielki... W programie znalazła się VII Symfonia Beethovena, fragmenty suity „Turandot” Busoniego i „Bolero” Ravela. Przyjęto ten zestaw kontrowersyjnie: niektórzy narzekali na interpretację Beethovena, że płytka, nudna i nieładna w brzmieniu, skarżyli się, iż Busoni nie jest muzyką na poziomie, wybrzydzała na stopniowanie dynamiki „Bolera”, i dopiero wszyscy zgodzili się, że tak zagranego Verdiego, jak dodana na bis uwertura do „Mocy przeznaczenia” — jeszcze w Warszawie nie słyszano! To była prawdziwa rewelacja!

Co do mnie to myślę, iż doszły tu do głosu pewne zakodowane już w naszych umysłach, a mocno skostniałe uprzedzenia, że orkiestra operowa, „z kanału” nie może dobrze zagrać symfonicznej klasyki, że Włosi do Beethovena w ogóle nie mają ani serca, ani głowy, itd., itd. Oczywiście, że orkiestra La Scali to nie Berliński Filharmonie, a Muti — przy całej swojej filasie — nie dorównuje swym wielkim poprzednikom w mediolańskim teatrze: Toscaninemu, de Sabacie czy nawet Abbado. Niemniej był to koncert na zakomitym poziomie, wywarł wielkie wrażenie i można by sobie tylko życzyć, aby takich koncertów bywało jak najwięcej.

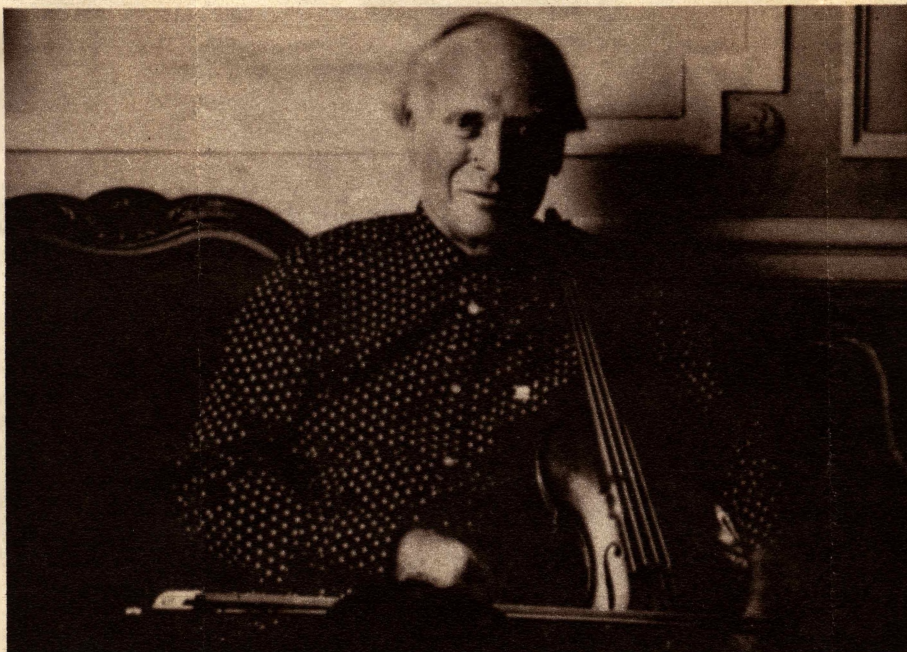
Na razie to pobożne życzenie spełniło się nieoczekiwanie szybko: nie minęło nawet dziesięć dni, a już w Filharmonii Narodowej zagodził wspaniały zespół Sinfonia Varsovia obchodzący jubileusz swego dziesięciolecia. Uroczysty koncert poprowadził sir Yehudi Menuhin, od którego właściwie wszystko to się zaczęło. Pamiętam nawet ten początek; w kwietniu 1984 Menuhin (wówczas chyba jeszcze nie sir) dyrygował Polską Orkiestrą Kameralną i współuczestniczył w Koncercie Bacha na dwoje skrzypiec. Gdy dowiedział się, że orkiestra po rozstaniu z Jerzym Maksymiukiem nie posiada właściwie żadnego szefa muzycznego — zaoferował swą pomoc: został pierwszym gościnnym dyrygentem zespołu (przemianowanego właśnie wtedy na

KURIER WARSZAWSKI

Warszawska wiosna rozbrzmiewała muzyką (i to bardzo dobrą!) ● Riccardo Muti i La Scala po raz pierwszy w Polsce! ● Sir Yehudi Menuhin uczcił jubileusz Sinfonii Varsovia ● Fenomenalna skrzypaczka: Midori z Osaki...

Sinfonię Varsovia), objechał z nim kawał świata, firmował swym nazwiskiem i zadowolony był z tej współpracy bodaj tak, jak orkiestra zadowolona jest ze współpracy z nim.

Niegdyś wspaniały skrzypek, dziś sędziwy dyrygent (22 kwietnia ukończył 78 lat) do-



Yehudi Menuhin — 78 lat, ale duch młody!

jechał zatem na jubileusz swego ulubionego zespołu i poprowadził program Beethovenowski: uwerturę „Coriolan” (tak rzadko dziś przypominaną, a tak przecież efektowną!), Koncert potrójny C-dur (soliści: Wiesław Kwaśny, Jerzy Klocek, Paweł Kowalski) oraz III Symfonię — „Eroikę”. Był to wieczór cudownej muzyki, wielkiej maestrii i myślę, że gdyby zestawili te dwa koncerty: Muti z La Scalą — Menuhin z Sinfonią Varsovia, z oceną, kto lepszy, mogłyby być problemy. Czyli cudze chwalimy, a o swoje mniej dbamy — jak to zwykle u nas.

Ale cudze też potrafi być piękne! Zaledwie tydzień później przekonałem się o tym na koncercie Midori. Tak jak kiedyś Menuhin był cudownym dzieckiem skrzypiec, tak była nim i Midori, dziś już 23-letnia Japonka z Osaki. Miała jedenaście lat, gdy usłyszała ją Zubin Mehta, zachwycił się jej grą i natychmiast zaprosił na koncert z New York Philharmonic, a ten nowojorski występ stał się prawdziwą sensacją i zapoczątkował jej olśniewającą, światową karierę. Midori mieszka obecnie w Nowym Jorku, grywa na dwu XVIII-wiecznych instrumentach: na Stradivariusie z roku 1722 i Guarnerim z roku 1735. To już jej drugi pobyt w Polsce, poprzednio występowała z recitalem, teraz — z orkiestrą FN pod dyktando naszego „młodego zdolnego”, Grzegorza Nowaka. Zagrała Koncert e-moll Mendelssohna i Koncert Brahmsa, a grała fenomenalnie! Szczególnie Brahms stanowił dla tłumnie zebranej publiczności ogromne, niezapomniane przeżycie. Cudowny ton, logiczna i konsekwentna budowa konstrukcji wielkiego utworu, przepiękne prowadzenie frazy... To było istotnie godne zwieńczenie tej wyjątkowo ciekawej warszawskiej muzycznej wiosny.

Dopełniło ją zresztą jeszcze jedno ciekawe zdarzenie: w Teatrze Wielkim — premiera „Fedory” Umberta Giordano. Werystycznego dzieła sprzed blisko stu lat o librecie według szuki Sardou (podobnie jak „Tosca”), z muzyką może nie najwyższego lotu, lecz efektownie, zgrabnie napisanej i zinstrumetowanej. Trochę warszawscy besserwiserzy ponarzekali na tę produkcję, że niby po co wyciągać z lamusa takie starocie, itd., itd., nie przyłączyłbym się jednak do tych narzekań. „Fedore” grywa się teraz w całym świecie, wzbogacając w ten sposób repertuar oscylujący dotychczas między „Traviatą”, „Toską”, „Cyganią” i „Rycerskością wieśniaczą” (sam niedawno widziałem ją w Operze Monte Carlo z Renatą Scotto — stała jeszcze w dużej formie).

Powody wznawiania „Fedory” są co najmniej trzy: świetna partia dla sopranowej heroiny, efektowna aria dla tenora i atrakcyjna akcja dla tych, którzy w przeciwieństwie do krytyków płacą za bilety pieniądze. Myślę, że w utrzymanej w dobrym klimacie, przejrzystej, dobrze potęgującej nastrój (zwłaszcza w dwu pierwszych aktach) reżyserii Piotra Szalszy, z doskonałą parą solistów: Joanną Cortes i Bogusławem Morką, a także z Krystyną Wysocką-Kochan i Zbigniewem Maciasem w drugim planie, pod bardzo sprawną dyрекcją muzyczną Jose Marii Florencia Juniora, „Fedora” ma wszelkie dane na to, by stać się repertuarowym przebojem Teatru Wielkiego.

Zwłaszcza że przygotowano w związku z tą premierą niecodzienną atrakcję dla słuchaczy: oto po raz pierwszy w Teatrze Wielkim zastosowano wyświetlanie nad sceną elektronicznych napisów z tłumaczeniem tekstu libretta — system, który w wielu teatrach operowych świata zdaje już doskonale egzamin. Opery grywa się dziś na ogół w języku oryginału (zwłaszcza na dużych scenach), toteż takie napisy pozwalają na bieżąco śledzić teksty arii czy duetów i w percepcji utworu pomagają znacznie lepiej niż krótkie streszczenie w programie. Jest to bardzo istotne, szczególnie w przypadku takich oper jak „Fedora”, której akcja — wręcz sensacyjno-kryminalna — jest dość komplikowana.

Na popremierowym cocktailu dyrektor Pietras przypomniał, iż mniej więcej przed stu laty w Teatrze Wielkim po raz pierwszy zabłysło elektryczne światło i z elektrycznymi żyrandolami Teatr wszedł w wiek dwudziesty. W dwudziesty pierwszy wchodzi zatem z kolejną elektroniczną nowością! Ona też była głównym przedmiotem rozmów na przerwach i cocktailu, i choć niektórzy odnosili się do tej nowinki sceptycznie (do Opery przychodzić słuchać pięknych głosów; po co mi mają tłumaczyć, o czym śpiewa Callas?), to zdecydowana większość była „za”. A niektórzy liczą — nie bez słuszności! — na to, że napisy wyświetlane będą także na polskich operach, bo słuchając ich, również trudno jest zrozumieć, o czym właściwie śpiewają, czy nawet o czym mówią śpiewacy.

Uff! Tyle dzisiaj muzyki... Ale już następny Kurier będzie w całości o teatrze, bo i tu tematów sporo. A to Teresa Budzisz-Krzyżanowska po rocznej przerwie powróciła na scenę, uszczęśliwiając tym wszystkich teatromanów; a to Jan Englert brawurowo gra Ryszarda III; a to w Powszechnym wystawiono „Balladynę” w formie jarmarczno-bardzo atrakcyjnego widowiska; a to specjalnie z USA pofatygowana się Elżbieta Czyżewska, by zagrać w nie najlepszej, niestety, amerykańskiej sztuce; a to Stary Teatr z Krakowa zwiózł do Warszawy trzy swoje reprezentacyjne spektakle, itd. itd.

Anonsuję to wszystko, dziś jednak — ograniczony miejscem — muszę już szybko kończyć. Zatem — do poczytania w następnym numerze!